

Kto się boi Syrizy, czyli populizm po polsku

31 stycznia 2015

Syriza, grecka lewica, która właśnie wygrała wybory parlamentarne, budzi w Polsce niechęć, a jej sukcesy – wręcz panikę. Czego boi się polska klasa polityczna?

„Największym zagrożeniem dla integralności strefy euro jest system demokratyczny w państwach członkowskich” – takie stwierdzenie pojawiło się na twitterze mBanku. Z jednej strony miło, że ktoś wreszcie przyznał, że funkcjonujący system finansowy i bankowy nie mają nic wspólnego z demokracją, z drugiej – w tym wyznaniu widać ślady pewnej histerii, która dotknęła wielu komentatorów życia publicznego w Polsce po wyborczym zwycięstwie greckiej Syrizy.

Telewizyjny prezenter Piotr Kraśko mówi o „kolejnym akcie greckiej tragedii”. Mówi się o tym, że „Grecja stała nad przepaścią, a teraz zrobiła krok naprzód”. Trudno się dziwić, że wynik greckich wyborów nie podoba się partiom liberalnym. „Albo on kłamał w kampanii i będzie realizował reformy obecnego rządu, albo doprowadzi kraj do zagłady” – mówiła Iwona Śledzińska-Katarasińska z Platformy Obywatelskiej o Alexisie Tsiprasie. Okazuje się, że w Polsce zwycięstwo Syrizy martwi również tak zwaną lewicę. W podobnym tonie wypowiadał się bowiem Marek Siwiec z Twojego Ruchu. Krzysztof Gawkowski, sekretarz generalny SLD, odmówił z kolei złożenia gratulacji Syrizie, twierdząc, że to „bardzo radykalna lewica”. Na czym polega lewicowy radykalizm szybko wyjaśnił europoseł Sojuszu, Janusz Zemke, który stwierdził, że „to niepokojące, że wybory w Grecji wygrała siła, która chce podniesienia płacy minimalnej”. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że greckim odpowiednikiem SLD jest PASOK, socjaldemokratyczna partii, która pomogła wprowadzać drakońskie i nieskuteczne reformy greckich finansów publicznych. Zwłaszcza jeśli dołożymy do

tego wystąpienie kandydatki SLD na prezydenta, Magdaleny Ogórek, która zamiast podnosić płacę minimalną chce obniżać podatki oraz Leszka Millera, całkiem na poważnie cytującego znanego i poważanego przez młodych wyznawców JKM rasistę i fana broni palnej, Mariusza Maksa Kolonko. Jedyną różnicą jest to, że PASOK na antyspołeczną politykę zgodził się dla wymiernych celów politycznych – takie decyzje podejmował ważniejszy partner poprzedniego rządu, czyli Nowa Demokracja. SLD natomiast jest w środku kampanii wyborczej.

Wróćmy jednak do kwestii populizmu, która jeśli chodzi o polski kontekst zwycięstwa Syrizy wydaje się być kluczowa, to bowiem podstawowy zarzut, stawiany greckiej lewicy. Słowa tego używa się tu zwykle w jego najbardziej potocznym znaczeniu – Tsipras jest według polskich polityków i dziennikarzy populistą, bo złożył obietnice bez pokrycia, bez oglądania się na realia polityczne, bo lansuje idee, które wprawdzie porywają tłumy, ale nie mają szansy na realizację. Abstrahując od tego, że jest to ocena niesprawiedliwa, zastanówmy się, kto według tak zarysowanej definicji jest w Polsce populistą.

Czy przypadkiem taką nierealizowaną ideą nie jest wiara w magiczną wędkę, którą należy podarować człowiekowi, a ten sobie poradzi? Czy nie jest nią opowiadana nam od 25 lat, czyli odkąd pamiętam, piękna baśń o samowystarczalności jednostki? O tym, że zwolniony górnik za otrzymaną odprawę może zbudować pensjonat w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej; że zwolniony stocznowiec zostanie fryzjerem pudli, a mieszkańcy popegieerowskiej wsi w kujawsko-pomorskim w magiczny sposób się „przekwalifikują” i Arizona przestanie im smakować? Doświadczenia wielu krajów, w tym Polski, dowodzą, że ta historia nie jest prawdziwa, że tak się nie stanie i że powodzenie jednostek w ogromnej mierze nie zależy od ich wytrwałości, pracowitości i sprytu, a od twardych danych ekonomicznych. Biznes, rozpoczęty w mieście, w którym właśnie 20 tys. osób straciło pracę, nie wypali. Szczecin nie potrzebuje tylu fryzjerów pudli, ilu było stocznowców.

Oczywiście, opowieść o tym, że jeśli zechcesz, możesz wszystko, jest bardzo pociągająca. Tylko dlaczego nikt nigdy nie nazwał Leszka Balcerowicza populistą?

Nie tylko Balcerowicz lubił i lubi opowiadać Polakom piękne historie, które nigdy nie zostaną zrealizowane. Z powodzeniem tkana jest opowieść o tym, że za kiepską sytuację polskich rodzin odpowiedzialni są geje i lesbijki i że opowiadacze tym gejom i lesbijkom pokażą ich miejsce, a wówczas sytuacja się poprawi. Tymczasem procent gejów i lesbijek w populacji jest stały i ani posłanka Pawłowicz, ani poseł Niesiołowski nic na to nie poradzą, co więcej nie ma żadnego wpływu na sytuację tych rodzin, w których nie ma żadnego geja ani lesbijki. Oczywiście Pawłowicz i Niesiołowski mają wpływ, negatywny, na te rodziny, w których osoby homoseksualne żyją, ale to inny wątek. Całe partie biorą sobie na sztandary obronę płodów i idą po władzę z niespełnianą pieśnią o tym, że ochronią każde „poczęte życie”, chociaż światowe i krajowe statystyki mówią bardzo wyraźnie, że kobiety przerywały, przerywają i będą przerywać ciążę, również w krajach, w których panuje jeszcze ostrzejsze prawo antyaborcyjne niż w Polsce. Co zabawne, płody przestają być aż takie interesujące i godne obrony w momencie, w którym stają się dziećmi, czyli po porodzie. Według największej opozycyjnej partii kluczowym problemem Polaków jest katastrofa w Smoleńsku – odkrycie „prawdy” na temat Tupolewa odmieni życie rodaków. Wiadomo, że jest to ten rodzaj „prawdy”, który nigdy nie będzie przez odkrywców dostatecznie odkryty, więc historia ta nie ma końca, jest jednak, jak wszystkie spiskowe, sensacyjne opowieści, bardzo interesująca dla jakiejś części widowni. Większość narracji, na których opiera się Polska polityka, to narracje skrajnie populistyczne w najbardziej potocznym znaczeniu tego słowa.

Jednak poza tworzeniem opowieści, poza sferą symboliczną, nie ma w Polsce żadnej siły politycznej, która faktycznie miałaby ambicję ulegać roszczeniom ludu, stanowić jego przedstawicielstwo w najbardziej oczywistym rozumieniu

demokracji. Wręcz przeciwnie, rządzący regularnie podejmują decyzje całkowicie przeciwne woli znacznej części tego tzw. ludu, w tym swoich wyborców. Z zeszłorocznych badań CBOS wynika np., że większość społeczeństwa nie widzi niczego złego w sytuacji, w której para lesbijek bądź para gejów wychowuje wspólnie dziecko jednego z partnerów/ek bądź biologicznie z nimi spokrewnione. Mimo trwającej od lat nagonki antyabrocyjnej ciągle prawie 40 proc. badanych uznało, że nie uważa za naganne przerwania ciąży przez kobietę, która po prostu nie chce mieć dziecka – osoby, które tak myślą, mają w Sejmie czy w mediach zupełnie marginalną reprezentację, a to przecież prawie połowa społeczeństwa! Jednak rozdźwięk pomiędzy tym, czego chcą Polacy i Polki, a tym, co robią politycy, jeszcze wyraźniej widać w kwestiach społeczno-ekonomicznych. 57 proc. badanych chce oskładkowania wszystkich umów śmieciowych; 74 proc. uważa, że powinna obowiązywać minimalna płaca godzinowa dla wszystkich rodzajów umów, w wysokości aż 15 zł brutto. Mimo lat agresywnej nagonki na związki zawodowe, wciąż większość uważa, że mają one zbyt mały wpływ na to, co się dzieje w kraju. Niezgodnie z wolą społeczeństwa podniesiono wiek emerytalny, prywatyzuje się coraz więcej usług publicznych i państwowych spółek, wyprzedaje się lokale komunalne, zamyka połączenia kolejowe, podnosi ceny biletów komunikacji miejskiej i dokonuje się setek innych decyzji, które nikomu niemal się nie podobają. Robią to politycy, którzy teoretycznie mają reprezentować obywateli i obywatelki, w ustroju, który nazywamy demokracją.

Co więcej, społeczeństwo taką sytuację akceptuje. Udało się wmówić Polakom i Polkom, że to nie oni wiedzą najlepiej, czego potrzeba gospodarce i społeczeństwu, lepiej od nich wiedzą to politycy, którzy z kolei mają ufać tzw. „ekspertom”. „Eksperci” mówią, że Syriza jest zagrożeniem dla Grecji i dla Europy. To za „ekspertami” powtarza Zemke, że pomysł podniesienia płacy minimalnej jest „niepokojący”. „Eksperci” mówią językiem, którego Kowalska i Nowak nie rozumieją, kiwają przy tym do siebie głowami i wyglądają jak osoby, które nie

mogą się mylić. Wydaje się oczywiste, że to ich, a nie społeczeństwa, posłucha Kopacz czy inny Tusk i społeczeństwo nawet to rozumie. Reprezentują oni oczywiście konkretne potężne grupy interesu – sektor bankowy, prywatne fundusze emerytalne, wielki biznes. Sreberka, w które są opakowani okazują się czasem bardzo niskiej jakości. Objawiła to np. sprawa Marka Goliszewskiego, prezesa BCC, regularnie występującego w rozmaitych programach jako mądra głowa. Wystarczyło odrobinę podrapać i już spod naukowej otoczki jego doktoratu wyłonił się tani plastik przydługiego szkolnego wypracowania na 3 z minusem. Taka sytuacja możliwa jest m.in. dlatego, że żadna z zasiadających obecnie w polskim parlamencie sił nie ma ambicji, żeby faktycznie występować w imieniu społeczeństwa, czy też jakiejś jego znaczącej części – występować w imieniu, czyli robić to, czego sobie życzy. Ruchy, które mają taki pomysł, są natychmiast dezawuowane jako niepoważne, nieodpowiedzialne i właśnie populistyczne.

Dlatego Polska jak powietrze potrzebuje swojej Syrizey – partii, która wystąpi wreszcie w naszym interesie i nada sens słowu „demokracja”. Oczywiście nie chodzi o ślepe podążanie za sondażem – taką politykę, prowadzącą zresztą do spektakularnej porażki, próbował prowadzić Janusz Palikot. Potrzeba partii, które będą rozpoznawać konkretne społeczne interesy, komunikować się ze społeczeństwem na zrozumiałym poziomie i konsekwentnie je realizować. Takiej demokracji boi się obecna klasa polityczna, boją się liberalne media, a nawet, jak widać, mBank. Gdyby we wszystkich państwach członkowskich UE rządziły partie, reprezentujące faktyczne potrzeby europejskich społeczeństw, integralność strefy euro w jej obecnym kształcie byłaby nie do pomyślenia. Podobnie jak hegemonia sektora bankowego albo żenująco niska grecka czy polska płaca minimalna.

Autorstwo: Justyna Samolińska

Źródło: Strajk.eu